

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

26

(Ciąg dalszy).

— Nie wiem... może rok, może dłużej... i uprzedzam, że jestem bardzo wybredna i wymagająca. Nie ukrywam się z tem wcale... a mówiąc z panem, do niczego się nie zobowiązuje, nie daje żadnego przyrzeczenia — a widząc go chmurnym i złym — bo nie wiem, jaka dusza pana. Sądze, że dobra i szlachetna, ale muszę o tem się przekonać.

— Czy to ostatnie słowo pani? — składał teczkę, jakgdyby się zabierał do odejścia.

To oburzyło Olę. Czyż on myśli, że będę go prosiła? i pod pierwszym wrażeniem powiedziała porywczo:

— Ostatnie!

On milczał, ważąc w myśli, co zrobić? Naznacza mu długi termin, do niczego nie chce się zobowiązać. On będzie się wysługiwał, nadszakał, tracił czas, a w końcu odmówi może? Lecz z drugiej strony, ona jest bardzo ładna, bardzo poważna i podobają mu się nadzwyczajnie, wszyscy będą mu zazdrościli takiej żony pięknej, taktownej, mądrej i cnotliwej. Ojciec ma wysokie stanowisko, panna posiada 25.000 posagu; ciotka mu sprzyja... wszystko przemawia za tem, aby z nią się ożenił; zresztą stałość mężczyzny zawsze zniewala kobietę.

— Wie pani — zaczął zwolna — gdyby mi to powiedziała inna panna, najpiękniejsza i najmądrzejsza, ukłoniłbym się pięknie i powiedziałbym, że nie przywykłem być zabawką czyjąś. Ale ja pani duszę znam, chociaż pani nie chce przyznać, że już zna i moją, wiem, że pani szlachetna i prawdomówna, zgadzam się więc na warunek pani, zostaje... o jedno tylko błagam panią na klęczkach, niech ten czas próby nie będzie długi.

— Nie zobowiązuję się do żadnego terminu, panie rotmistrzu... i do rezultatu próby.

— Wiem, słyszałem... ale ja ufam w dobroć serca pani.

— Kto wie, czy mam dobre serce? Może mściwe i pamiętne urazy — sama nie wiem dokładnie.

— Pani wątpi w siebie, ale ja nie wątpię i powierzę z całą ufnością życie moje, honor, tajemnice wszystkie — a widząc, że patrzy na teczkę — chce pani, pokaże, jak się otwiera zamek — i położył rękę na teczce.

Odwrociła oczy, mówiąc:

— Nie, nie chcę, przecież pan dał słowo honoru, nie chcę widzieć.

— Pani jest świętą — rozczulał się, sądząc, że ona odmawia, dbając tak o jego honor — pani najszlachetniejsza!

— Bez tych wykrzykników — powiedziała oschle, gdyż zabolalo ją to jego uznanie, tak niesprawiedliwe.

Weszła pani, prosząc na herbatę. Rotmistrz wstał, wziął teczkę ze sobą do jadalnego pokoju i położył na krześle obok siebie.

Olga spostrzegła, że niema sposobu zajrzenia do teczek, siedziała chmurna i małowólna. Natomiast rotmistrz był bardzo wesoły i rozmowny.

— Czy otrzymałaś, Olgo, broszury?

— Tak jest, ciociu... zapomniałam w salonie... pójdę schować, aby ktoś niepowołany nie dojrzał i nie przeczytał.

— O, z pani ostrożna kobieta! — zachwycał się rotmistrz, a po jej wyjściu dodał:

— Dziś prawie oświadczyłem się pannie Oldze, kazała mi czekać rok, może dłużej, ale liczę na przyjaźń pani — ucałował jej rękę — że pani skłoni ją, aby mnie tak nie zamęczała. Całe życie będę wdzięczny pani... żadna ofiara nie będzie mi trudną i ciężką dla pani, tylko wstaw się pani za mną.

— Nie mam prawa, nie mogę i nie chcę zmuszać Olgi... pan to rozumie, bo i co po przymuszanej żonie?... ale powiem jej, wytłómaczę...

— I myśli pani, że ona się zgodzi wyjść za mnie?... a może ona nie zechce?

— Cóż powiedziała panu?

— Że musi mnie poznać, wypróbować...

— To wierz pan mnie, kobiecie doświadczonej, że taki warunek jest dobrą zapowiedzią. Ona nie może zdać sobie jeszcze sprawy, czy kocha, czy nie? Czekaj, bada, waha się... i jeśli nie znajdzie nieprzewidziane okoliczności, odda panu swoją rękę.

— I jakie to mogą być okoliczności?

— Hm... może pan ją zrazić... nie podobać się w tem lub owem... może kto inny wejdzie w drogę...

— Prócz tego „innego“, jestem spokojny o resztę... a czy ona mówi co o mnie?

— Owszem... chwali pana uprzejmość, delikatność... przyznaje nawet, że pan miły i przystojny.

— Dziękuję pani — ucałował jej rękę — to mam tylko pani do zawdzięczenia. Nie zapomnę tego.

Przerwali rozmowę przy wejściu Olgi, zwrócili się do tematów bieżących i po pewnym czasie rotmistrz wyszedł.

— Czy oświadczył się panu?

— Nie, ciociu... miał zamiar wynurzenia mi swej miłości i zachwytów, ale uprzedziłam go, że za mało się znamy.

— I czy długo myślisz zwlekać?

Olga spojrzała z pod oka podejrzliwie na ciotkę, wspomniła jej pochwały dla niego i odpowiedziała:

— Istotnie mało go znam, ciociu... może to człowiek okrutny, lubiący się znęcać... tak dużo złego słyszałam o żandarmach.

— E, plotki... a podobał ci się?

— Tak sobie, niczego... ale od podobania do miłości bardzo daleko.

— To prawda... i po co masz się spieszyć do małżeństwa... on poczeka.

— Wszystko mi jedno, ciociu.

— Ale gdyby sobie poszedł, byłoby ci przykro?

— Nie wiem.

— To już dobrze — zaśmiała się wesoło — kto wie, czy w tym roku nie będę na twoim ślubie.

— W każdym razie nie w tym roku.

— Więc na przyszły rok?

— Nie wiem.

— Idę odwiedzić Tatianę, tam są karty dzisiaj... Może pójdziesz?

— Nie, zostanę w domu.

— Wolałabym i ja zostać z tobą, ale niestety muszę iść — westchnęła.

Olga zarumieniła się, wiedziała bowiem, że ciotka idzie bardzo chętnie, bo tam spotka się z rotmistrzem Lednojem.

Z powodu drwiących uwag Sudkiewicza i lekkich podejrzeń ciotki, Olga, idąc do Heleny na kilka godzin, zaprzestała zastaniać się spotkaniem z koleżanką, natomiast wyszukała sobie inną przyczynę, które usprawiedliwiały jej nieobecność, a były tak prawdopodobne, że nie budziły podejrzeń, nawet u rotmistrza Bolcewa, zawiadamianego sumiennie o każdej nieobecności Olgi w domu.

Jednego dnia zdziwiła się bardzo, gdy do jej pokoju wszedł Jan, oznajmiając, iż posłaniec przyniósł list do niej, ale odda go tylko w jej ręce.

Wyszła do przedpokoju, a posłaniec zapytał:

— Czy to pani, panna Olga Wojtyrska?

— Ja nią jestem.

— To jest interes od pana Buczka, może to nie do pani?

— Znam go — zarumieniła się przy jego nazwisku — dajcie — i obdarzyła hojnie posłańca.

Lokaj z pewnem zdziwieniem przysłuchiwał się tej scenie i zanotował ją sobie w pamięci.

W swoim pokoju otworzyła szybko list i czytała:

„Dziś otrzymacie pierwszy transport o godzinie ósmej wieczorem. Jutro dajcie znać Komarowi, a o szóstej popołudniu czekam was Plac Aleksandra, przy kościele. Całuję wasze dobre rączki. B.”

„List zniszczcie z kopertą”.

Nareszcie przypomnieli sobie, że żyje i czekam, uśmiechnęła się zadowolona, rozpoczną działalność. I to jest pierwszy transport dopiero... ile też ich będzie?

Z niecierpliwością czekała ósmej godziny, drzwi swego pokoju przykneła tylko, aby słyszeć każdy szelest i stukot na schodach. Nie chciała bowiem, aby Jan widział przesyłkę; instynktownie nie lubiła go za jego podsłuchiwanie i podpatrywanie każdego jej słowa, każdego ruchu.

Nareszcie posłyszala kroki Jana i otwieranie drzwi. Szybko weszła do przedpokoju. Jakis służący sklepowy, położywszy w progu wielkie pudło, używane zazwyczaj na przesyłanie sukien damskich, dopytywał się o nią.

— To do mnie — zawołała Olga — proszę wnieść do mego pokoju.

— Ja wniosem... zawala mi posadzkę — odezwał się Jan, nachylając się do wzięcia.

— O, nie — odsunął rękę lokaja — sam przyniosłem, sam oddam.

Niezadowolony Jan spostrzegł, że pudło, jak na zawartość sukni, jest ciężkie, wymiarkował to z natężenia ręki.

— Czy pudło może zostać do jutra? — spytała Olga w swym pokoju.

— Móż, mogłoby... ale wolałbym dzisiaj — i widząc zakłopotaną minę Olgi, szepnął nachylając się — ja towarzyszę.

Olga uśmiechnęła się i podała rękę, następnie cicho zasunęła drzwi i mówiła głośno:

— Niech mi pan pomoże wypakować suknię... a ostrożnie...

— Ja się z tem znam.

Na przygotowanej dolnej półce szafy bibliotecznej ułożyli szybko broszury, a gdy Olga otworzyła drzwi, zastała Jana, stojącego w przedpokoju.

— A Jan czego? — spytała nachmurzona.

— Czekałem, aby drzwi zamknąć za nim — wskazał na człowieka z pudłem.

Rano poszła do Komara, a że dzień majowy był jasny i pogodny, Komar odprowadził ją przez podwórze fabryczne do bramy wejściowej, ucząc ją na pamięć adresów, gdzie i w jakiej ilości ma oddać broszury nadesłane.

— Nikomu nie powierzajcie, cudzemi rękami dobrze kasztany wyciągać z ognia, ale własnymi pracować. Wyglądacie za strojnje — obejrzał ją — no i trochę za ładną jesteście, będą się oglądali za wami, a nie jedźcie tramwajami, często są szpiegi, lepiej dorózką, byle nie na miejsce przeznaczenia, bo mógłby ktoś zauważyć numer.

— Dobrze... usłucham waszej rady.

— Weźcie też od Buczka spis kamienic przechodnich, wolnym czasem zbadać każdą z nich, taka wiadomość nigdy nie zaszkodzi. Będziecie się widzieli dziś z Buczkiem?

— O szóstej wieczorem.

— Wspomnijcie mu na siódmą. I jeszcze jedno, nie róbcie piekła z oddawaniem... w domu mogą podejrzewać... dziś trochę... jutro... kiedy wam dogodnie.

— Rozumiem... a nie wiecie czego o panu Pawle?

— Ten teraz wysyła tylko — uśmiechnął się — wkrótce znów dostaniecie, przygotujcie miejsce!

— O, tego mi nie zabraknie.

— Bywajcie zdrowi... i nie pisujcie ani pamiętników, ani listów; do widzenia! — uściśnął serdecznie jej rękę.

Dzięki kluczowi od zatrzasku mogła Olga wyjść dwa razy niespostrzeżenie z domu, co przy jej powrocie spostrzegł Jan. I oburzony, że on, domowy, nie wiedział o jej wyjściu, postanowił sprawę przedłożyć panu.

Gdy zasiedli do obiadu, Jan wybrał chwilę sposobną i rzekł z pokorą:

— Prosiłbym jaśnie pana o sprawienie łańcuszka do drzwi, bo obawiam się, że ktoś zakradnie się do mieszkania.

— A to co nowego? skąd ci to przyszło? — mówił Sudkiewicz, zajądając potrawę z uwagą wielką i skupieniem.

— Bo ja odpowiadam za dom jaśnie państwa, a nie wiem, kto wchodzi, kto wychodzi... i nietylko ja, ale nikt z domowych, a drzwi mogą zostać otwarte.

— Hm... to prawda.

Pani Sudkiewicz, przy słowach Jana, poruszyła się niespokojnie, miała bowiem na sumieniu i swe tajemne wycieczki i przyjmowanie ukryte rotmistrza Lednoja. Łańcuszek uniemożliwiłby jej schadzki, to też zaczerwieniona z gniewu, zawołała:

— O kim to mówisz, że wychodzi i wchodzi?

— Nie o jaśnie pani... ale na ten przykład jaśnie pani.

— A tobie, kpie, co do tego? — krzyknęła groźnie — ty pilnuj porządku, kurzu, a wara ci od państwa!

— Ja dla dobra jasnych...

— Ani słowa!... albo precz natychmiast.

— Już milczę — i wyszedł z talerzami.

— Reno, niepotrzebnie się unosisz — łagodził ją mąż — on z dobrego serca.

— Nie, szpiegów w domu nie chcę. Zamykaj twój pokój, Oldziu, zawsze na klucz, tak samo, jak ja swój i niech on się poważy tylko zastukać bez pilnego interesu, już ja go nauczę. I proszę cię, Pierre, zapowiedz mu to sam, od czegoż jesteś panem domu!

— Dobrze, Reno! Dobrze!

Posłuszny mąż wypełnił rozkaz i w ten sposób, zamiast ułatwienia kontroli, Jan miał utrudnione śledzenie, ku wielkiemu zadowoleniu Olgi.

Prawie równocześnie przyszli oboje do umówionego kościoła i po przywitaniu:

— Wiecie, koleżanko, mam tylko godzinę czasu, odprowadźcie mnie na Wolę, bo tam idę...

— Chętnie... to dlatego zapewne mówił Komar, by wam siódmą przypomnieć.

— Na razie zbytek troskliwości — śmiał się —